Do Delhi dotarliśmy z Agry w dwie godziny, jadąc pociągiem z wliczonym w bilet posiłkiem i deserem w postaci lodów. I o ile od dawna trzymam się zasady, że w Indiach lodów nie jem (sprawdza się, bo „zemsty Shivy" do tej pory nie doświadczyłam), to robię od niej wyjątek podczas tej krótkiej trasy do stolicy. Koleje indyjskie to jedna z największych firm i tu raczej prądu nie brakuje, w związku z czym lody raczej nie mają szans się rozmrozić i ponownie zamrozić. Tym razem również pożarłam pudełeczko waniliowych i kiedy oblizywałam szpatułkę, nasza maszyna powoli wtaczała się na peron stacji docelowej. Była północ. Zarzuciliśmy bagaże na plecy i skierowaliśmy się do kultowego już hotelu Relax. Lubię tam wracać, choć mieszkałam już w lepszych miejscach. Pokoje są takie sobie, urządzenia AC pamiętają czasy Indiry Gandhi, ale działają. Na korytarzach kolejnych pięter stoją nadgryzione zębem czasu ładne pewnie niegdyś stylowe mebelki. Wyprawy od zawsze zatrzymują się właśnie w Relaksie. Nim sprawdziliśmy pokoje i rozlokowaliśmy grupę minęła kolejna godzina. Na szczęście Kumar okazał się łaskawym Panem i następnego dnia mogliśmy się wyspać, grupa śniadaniową zdążyła zrobić zakupy i przygotować wszystko, po czym ruszyliśmy eksplorować Delhi. Pojechaliśmy więc najpierw do Indira Gandhi Memorial, a potem do Gandhi Smrti, czyli młodzi poznali tragiczne losy pani premier Indiry Ghandi i jej rodziny, jak również przy okazji wizyty w Gandhi Smrti życie i idee wielkiego Mahatmy. O tych wielkich postaciach opowiedzieli nam świetnie przygotowani Witek K. i Kamila K. Podjechaliśmy też pod India Gate i siedziby rządowe, do których był wyjątkowo trudny dostęp, bo politycznie tudzież dyplomatycznie coś się działo, o czym mogliśmy się przekonać nieco wcześniej, idąc zobaczyć miejsce, w którym zginął Mahatma Gandhi. No więc szliśmy sobie spokojnie aż tu nagle zewsząd wyleźli bądź podjechali na motorach żołnierze i policjanci. Pokrzykując na nas wskazywali rękami, że mamy spadać. Byliśmy nieco zdezorientowani, ale mundurowi zadecydowali za nas – kazali naszej grupie wejść na teren czyjejś posiadłości, zamknęli jej bramy, a nas upchnęli w małym domku ochroniarzy i włączyli wentylatory. Domyśliłam się, że dokądś przewożą premiera Narendrę Modiego i stąd ten cyrk. Na którejś z wcześniejszych wypraw przeżyłam coś podobnego. Wiedziona ciekawością rozglądałam się po kamerliku, w którym się znaleźliśmy… nie ja jedna. Grace zerkając to tu to tam odkryła księgę gości, z której wynikało, że byliśmy na terenie posiadłości przewodniczącego sądu najwyższego Indii. Pomyślałyśmy nawet, że skoro tu już jesteśmy to może jakaś herbatka by się dla nas znalazła… ale gospodarz najwyraźniej też gdzieś zmierzał za premierem, bo tylko mignęła nam jego limuzyna. Pierwszy dzień w Delhi trochę nas zmęczył. Miasto jest ogromne, środków lokomocji do dyspozycji sporo – od riksz po metro, ale wszędzie korki i tłumy ludzi. W dodatku te temperatury… Następnego dnia znowu byliśmy w drodze, a za cel obraliśmy sobie Qutb Minar i grobowiec Humajuna. Zaczęliśmy od tego ostatniego i okazało się, że tuż przy nim w ciągu ostatnich dwóch lat powstało fantastyczne i bardzo nowoczesne w sposobie prezentowania artefaktów muzeum. A potem rikszami i metrem dotarliśmy do Qutb Minar. Przewodnikami po stolicy byli Judytka M. i Kuba C. Obfotografowaliśmy ponad siedemdziesięciometrowy minaret, żelazną, od wieków stojącą tam i jakimś cudem nie rdzewiejącą kolumnę i Kumar zarządził czas wolny w pobliskiej galerii handlowej. To dopiero było coś. Bo okazuje się, że Kumar to modniś i koneser outfitów na topie. Z podziwem podsłuchiwałam jego rozmowy z młodymi, którzy znają marki, wiedzą co kupić i co z czym zestawić. Okazuje się, że Szef też wie. Na co dzień to skromny, nie przywiązujący wagi do aktywności typu zakupy człowiek, ale raz na jakiś czas budzi się w nim bestia modowych wybiegów. Kumar nabył drogą zakupu kilka koszul i pewnie grono padnie z wrażenia widząc go w którejś z nich na pierwszej po wakacjach

konferencji. Tymczasem kolejnego dnia w Delhi mieliśmy odwiedzić Ambasadę Polską. Pan Ambasador zaprosił nas na 15tą, więc do południa zdążyliśmy jeszcze podjechać do świątyni Sikhów. Tutaj o sikhizmie rewelacyjny wykład wygłosił Szymon Kula S., po którym my – opiekunowie pojechaliśmy na Connaught Place po bilety do kina na „War 2", a młodzi na shopping i do hotelu. Około 14tej wszyscy byliśmy już odświeżeni i gotowi na „ĄĘ" w ambasadzie. Na miejsce dojechaliśmy rikszami i od bramy witali nas ludzie poznani dwa lata temu, kiedy to musieliśmy pójść do ambasady, żeby załatwić nowy paszport Konradowi K. Jak wcześniej tak i teraz podjęto nas kawą, herbatą, sokami i przepysznymi ciasteczkami. Po wysłuchaniu naszej opowieści o projekcie „Szkolne wyprawy geograficzne", Ambasador Piotr Świtalski i jego współpracownicy chętnie odpowiadali na pytania wyprawowiczów, pozowali z nami do zdjęć i wyraźnie nie śpieszyło im się do rutynowych obowiązków. Poznaliśmy ich styl życia, sposób postrzegania Indii, członków rodziny, w tym Pado – uroczego pieska pana radcy. Po ponad dwugodzinnej wizycie pojechaliśmy do kina Odeon na Connaught Place. Przed seansem zdążyliśmy jeszcze zjeść kolację i wydawało się nam, że jesteśmy gotowi na spotkanie z produkcją bollywoodzką. Film, który wybraliśmy, kierując się podpowiedzią naszej absolwentki Anetki (mieszkającej z mężem z Mumbaju) był w stylu „Bonda". Czego w nim nie było! Nagłe zwroty akcji, walka bez zabezpieczenia głównych bohaterów na dachu lecącego samolotu, ściąganie się motorówkami, które w pewnym momencie wyskakują z wody prosto na tor wyścigu Formuły 1 i wracają na fale oceanu, pokonawszy pędzące bolidy. Dodam, że każdy z bohaterów po ciosach, które sobie zadali, nie powinien przeżyć już pierwszego starcia, tymczasem oni ciągle żyli, wyglądali nienagannie, w dodatku potrafili razem zaśpiewać i zatańczyć wespół w zespół z kilkudziesięcioma innymi tancerzami. Kumar najpierw zasnął, potem starał się oglądać, ale sądząc z tego jak prychał, pochrząkiwał i sapał, film nie przypadł mu do gustu, więc jak tylko zaczęła się przerwa rzucił hasło: WYCHODZIMY. I ku swojemu zdziwieniu , spotkał się ze sprzeciwem. Chcieliśmy to „dzieło" zobaczyć do końca. I tak się stało. Kumar próbował oszukać świadomość głupoty tego filmu chrupiąc popcorn, ale średnio mu to wychodziło. Jak tylko wyświetliły się napisy końcowe, szef ruszył do wyjścia, galopując niczym jeleń na rykowisko. Zdecydowanie film War 2 nie przypadł mu do gustu, uznał, że większej głupoty dawno nie widział i że wolałby jakąś PRODUKCJĘ ROMANTYCZNĄ. Nasz wrażliwiec… Z kina wracaliśmy milcząc i licząc na to, że zdążymy pożegnać się z absolwentkami, które dzień wcześniej niż my wracały do kraju. Zdążyliśmy. A ostatni dzień poświęciliśmy na pakowanie, ostatnie zakupy i indywidualne zwiedzanie różnych punktów na mapie zabytków Delhi. My, Kumar, Grace i ja, pojechaliśmy do studni schodkowej z X wieku – Ugrasen ki Baoli, a potem wróciliśmy do hotelu i zaczęliśmy przygotowania do ostatniej kolacji wyprawowej zaplanowanej w restauracji Berco's. Było smacznie i sympatycznie. Kumar zamówił to, co podczas pierwszej wyprawy 34 lata temu i spałaszował do ostatniej nitki makaronu. Wróciliśmy do hotelu, żeby ostatecznie podsumować i zamknąć wyprawę. Spotkaliśmy się w holu hotelu Relax, usiedliśmy w kręgu i głos zabrał najpierw Kumar, potem my – Grace i ja, a w końcu młodzi. Podziękowań nie było końca. Zerknęłam na Szymona Kulę S… Chłopak ma katar – pomyślałam, ale nie, on płakał. Po prostu siedział i łzy płynęły po policzkach. Nie wytrzymałam. Sama mam oczy w mokrym miejscu i wraz ze łzami Szymona dotarło do mnie ostatecznie, że to koniec XX wyprawy Słowaka.
O północy ruszyliśmy na lotnisko.